

Wyszedłem na dłużej. Wróciłem...

Choć był wychowywany w rodzinie katolickiej, na dłuższy czas odszedł od Kościoła. Jest przekonany, że powrót zawdzięcza Janowi Pawłowi II. 35-letni marketingowiec Marek opowiada o swojej drodze do wiary i Kościoła.

05-05-2011

Urodziłem się w 1976 r. w wierzącej rodzinie. Moja matka była biegłym psychologiem klinicznym, ojciec inżynierem. Z Janem Pawłem II

miałem kontakt odkąd pamiętam, także dzięki rozmowom w domu – moja matka kończyła KUL i była studentką ks. prof. Karola Wojtyły.

Mój pierwszy kontakt z Wojtyłą był w 1979 r. Podczas jego pierwszej pielgrzymki, którą bardzo dobrze pamiętam, choć byłem bardzo mały – tata wziął mnie na barana i staliśmy na ul. Królewskiej przy Zachęcie i czekaliśmy aż pojawi się ta bardzo ważna postać. Nie wiedziałem wówczas, kim on jest, ale wiedziałem: ktoś bardzo ważny.

Pamiętam też kolejne pielgrzymki, stan wojenny, rozbiecie „Solidarności”, rozbiecie ruchu wolnościowego, o którym dużo się w domu mówiło. Słuchaliśmy radia, a ponieważ tata był inżynierem – elektronikiem w Unitrze, udawało się słuchać Wolnej Europy i Głosu Ameryki bez specjalnych zakłóceń. Gdy papież po stanie wojennym

przyjechał do Polski, były oczekiwania, że wesprze ruch „Solidarności” i pojawiło się rozczarowanie, że może zrobił to nie dość zdecydowanie.

Z Panem Bogiem i religią rozstałem się na dłużej w liceum, przez słabo uformowanych katechetów. Pamiętam, że na lekcji religii zadałem pytanie na temat jednego z dogmatów maryjnych i w odpowiedzi usłyszałem: Albo wierzysz, albo wyjdź. No to wyszedłem. Na dłużej.

To trwało parę lat. Pod koniec studiów – studiowałem socjologię na UW – na III roku zacząłem przeżywać kryzys. Zastanawiałem się nad ścieżką mojego życia, poznawałem sprzeczne ze sobą nurty filozoficzne. Uczestniczyłem w zajęciach dr Małgorzaty Jacyno na temat postmodernizmu, które były fascynujące, choć nie mogłem

zaakceptować relatywizmu, tego, że „wszystko jest względne i praktycznie nie ma żadnych pewników”.

Ale byłem też studentem prof. Michała Pohoskiego, który był powstańcem warszawskim i powtarzał, że jako naukowcy powinniśmy szukać Prawdy, Dobra i Piękna i być wierni. Na ostatnich zajęciach seminaryjnych, na których u niego byłem, a które były poświęcone filozofii Karla Poppera i jego krytyce marksizmu, profesor opowiedział nam o swoich przeżyciach wojennych i powstańczych i o tym, jak marksizm zniszczył socjologię i filozofię powojenną w Polsce. Te zajęcia przesądziły o wszystkim – profesor przekonał mnie, że należy szukać tych wartości, które są wieczne, ponadczasowe, a człowiek nie jest zdeterminowany koniecznością dziejową.

Pisałem pracę dyplomową u prof. Ewy Nowickiej o relacjach narkomanów i bezdomnych w ośrodku na Marywilskiej, prowadzonym przez ś.p. Marka Kotańskiego. Był rok 2002 i pojechałem do Krakowa posłuchać papieża. To była jego ostatnia pielgrzymka do Polski. Wtedy powiedział znamienne słowa, które umieściłem w pracy dyplomowej – że trzeba spojrzenia miłości żeby w drugim człowieku, porzuconym dziecku, zobaczyć istotę, potrzebującą naszego wsparcia. Potem w wypadku zginął Marek Kotański. Bardzo to przeżyłem i po wielu latach, podczas tej pielgrzymki, poszedłem do spowiedzi.

Obroniłem pracę dyplomową, zacząłem pracę zawodową jako badacz rynku, ożeniłem się z ukochaną kobietą. Po roku urodziło nam się dziecko. W gonitwie o zarobki zacząłem się znowu

zatracać, to niebezpieczna pułapka –
wygrywa się projekt, realizuje,
nieraz otrzymuje nagrodę, czyli
zadowolenie klienta. Zastrzyk
satysfakcji przeliczony też na stan
konta. Codzienność.

Przyszedł rok 2005. Początek
kwietnia, papież umierał. Moja żona
była na nocnym dyżurze, dziecko
spało, czekałem na wiadomości z
Rzymu, telewizor był włączony.
Popijałem dżin z tonikiem, płakałem
i modliłem się. Papież umarł. I
pojawило się jakieś światło –
patrzyłem na pustą szklankę po
dżinie i uświadomiłem sobie, że
mimo że wszystko dobrze się układa,
moje życie staje się puste, bo do
niczego nie prowadzi.

Kilka dni później z moim
przyjacielem, ojcem chrzestnym
mojego syna, mówiliśmy, że trzeba
coś ze sobą zrobić. Siedzieliśmy na
ławce przed kościołem na Białoleścu i

stwierdziliśmy, że jeżeli się za siebie nie zabierzemy, trzeba będzie już tylko kupić skrzynkę piwa i wszystko sobie odpuścić.

Zaczęło się moje świadome nawrócenie i poszukiwanie.

Zacząłem regularnie chodzić do spowiedzi w kościele Świętego Krzyża. Z kolegami z pracy próbowaliśmy założyć duszpasterstwo dla marketingu, było kilka pomysłów, zwłaszcza że śmierć papieża była momentem, który potrząsnął wieloma ludźmi, którzy nie czuli się związani z Kościołem lub byli katolikami okazjonalnymi, choinka, jajeczko, wyedukowani na „Gazecie Wyborczej” – wiara „tak”, Kościół „nie”. Bywają w kościele, ale nie czują wielkiej głębi.

To wówczas zacząłem harmonizować swoje życie. Nie dam się zwariować w pracy, mam swoje priorytety. Wraz z kilkoma kolegami uważaliśmy, że

my marketingowcy potrzebujemy odnowy duchowej. W czerwcu w praskiej katedrze trafiłem na Mszę z okazji beatyfikacji Josemarii Escrivy, założyciela Opus Dei. Na stoisku przed kościołem kupiłem jego książkę – „Droga. Bruzda. Kuźnia”. Wszedłem do samochodu i wracając z katedry stanąłem na światłach, zacząłem czytać i urzekło mnie to, co ten człowiek napisał. Prosto, bezpośrednio, życiowo. Nazwał coś, co wcześniej we mnie kołatało.

Po kilku miesiącach trafiłem na dzień skupienia prowadzony przez Opus Dei. To jeden z istotniejszych elementów tego papieskiego nawrócenia, trwającego w czasie. Wszedłem na drogę nawrócenia, która trwa do dziś.

Już wiem, że wspólnota Kościoła nie jest idealna, a katolicyzm nie jest „trendy”. Teraz modne i popularne jest krytykowanie i potępienie w

czambuł moralności katolickiej i wiary, tzw. katolickiego stylu bycia. Na pewno do złego obrazu przyczyniamy się my sami, marni katolicy, ale osoby niezwiązane z Kościołem próbują go leczyć stosując zasadę wylewania dziecka z kąpielą. A tak naprawdę Kościół jest bardzo piękny. Wychowuje wielu dobrych, wspaniałych ludzi, wiele dobrych rodzin, które mogą być przykładem jak można fantastycznie żyć, jak spełniać się jako rodzic, obywatel, człowiek. Gdzie zarówno obszar rodziny, ale i kraju, bliskiego sąsiedztwa, można w pozytywny sposób przeżywać, pracować mimo wielu trudności. Bardzo często są to osoby, które nie są zbyt głośne. Tak jak moja żona, która mozolnie buduje lokalną bibliotekę. Zaś jeden pedofil zboczeniec jest dla mediów postacią o wiele ciekawszą niż sto osób, które robią coś spokojnie i służą społeczeństwu, krajowi, rodzinie.

Obserwując naszą codzienność kościelną widzę też, że osoby, które nie są z Kościołem związane, doceniają jednak jego działania. A trzeba im przedstawiać także argumenty racjonalne, pokazywać na przykład jak wielka jest szkodliwość rozwodów. Obecnie pracuję społecznie nad kampanią, pokazującą szkodliwość rozwodów. Mamy w ręku badania, które pokazują czarno na białym, że dzieci rodziców, którzy się nie rozwiedli, nawet jeśli nie były to małżeństwa zbyt udane, a nawet kiepskie i tak żyją dłużej, rzadziej sięgają po narkotyki, osiągają wyższą pozycję społeczną, niż dzieci, których rodzice się rozwiedli. Często wyśmiewana moralność katolicka wyśmiewana jest z niezrozumienia. Gdy przedstawi się racjonalne argumenty, ludzie gotowi są ją przyjąć. A jak ją przyjmą, są szczęśliwsi. Kampanię tę wspierają w dużej mierze również ludzie na pozór odlegli od Kościoła

Jako katolik czuję się naturalnie w moim środowisku. My katolicy nie mamy piętna na czole, które pozwala innym nas zidentyfikować. Nie żyjemy w zakonie czy w piwnicy. Katolicyzm jest wiarą bardzo radosną, optymistyczną, ponieważ Chrystus zwyciężył grzech i śmierć i zawsze jest szansa na nawrócenie, mówi nam, że śmierć jest do pokonania. Jako katolik nie czuję się gorszy, źle czuję się tylko wówczas, gdy łamię zasady, według których staram się żyć. Źle się czuję, gdy daję zły przykład, gdy gorszę innych. Staram się być dobry dla rodziny, w życiu zawodowym, jako obywatel. Robię różne rzeczy. Staram się wspierać działania pro-rodzinne, pro-państwowe, budować dobrą atmosferę w pracy, w zespole i mam nadzieję, że dzięki Bożej pomocy się uda. – Namiętnie kochać świat – zachęcał Escriva i tak staram się żyć.

Warto przełamać swój lęk przed Kościołem. Wiara, przystąpienie na chwilę, szczere porozmawianie ze Stwórcą - wiele wnosi. Gdy się tego nie robi i stoi z boku, wiara być może wydaje się chwilą słabości, ale warto spróbować, zaczynając od małych kroków, krótkiej modlitwy, wezwania Stwórcy, aby poczuć, że nasze życie staje się bardziej wartościowe. W Kościele są złe rzeczy i patologie. Ale to tak jak z chorą matką – jeśli jest chora, należy się zastanowić, jak jej pomóc i jeszcze bardziej ją kochać, a nie – jak ją pogrzebać. Kościół to coś więcej niż instytucja, bo tu znajdujemy kontakt z naszym Stwórcą. Wiara pokazuje nam, że warto walczyć o swoją rodzinę, o małżonka, przyjaciół, być czujnym i w nawale obowiązków i nowomowy, która nas otacza, wiedzieć, co jest najważniejsze.

.....

pdf | dokument generowany
automatycznie z [https://opusdei.org/pl-
pl/article/wyszedem-na-duzej-wrociem/](https://opusdei.org/pl-pl/article/wyszedem-na-duzej-wrociem/)
(09-03-2026)